

NASZA WSPÓLNOTA

PARAFIA NIEPOKALANEGO POCZĘCIA NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY, AZORY - KRAKÓW

Rok XXIX

Wrzesień 2024

Nr 8 (346)

Matka Boża Bolesna

Bogactwo tytułów, których obdarzona jest Maryja, świadczy o niezwykłym przewiązaniu i miłości nas ludzi do Matki Boga. W tych wielości tytułów, których wzywamy Jej wstawienia, zwłaszcza w tym miesiącu wrześniu, odnaleźć można ten jeden: Matki Bożej Bolesnej, związany tak bardzo z ludzkim cierpieniem.

Piękna i smutna Niewiasta – Matka, ubrana w czerń i purpurę, kolory żałoby. Jej twarz zwrócona ku niebu, często pokryta łzami, a w Jej oczach widoczna jest udręka, która nie ma głosu ani słów. Tak właśnie Matka Boża Bolesna jawi się w większości przedstawień Jej osoby. Mówimy o Niepokalanej, która ogromnie cierpiała z miłości do swego jedynego Syna, która uczestniczyła w Jego bólu, w Jego męce, towarzysząc Mu aż do śmierci na Krzyżu i wylewając u Jego stóp wszystkie swoje łzy. Maryja, jako Matka Boga, Niepokalanie Poczęta, jedyna z ludzi „miała prawo” być wolna od bólu i cierpienia, a jednak Jej życie od Nazaretu aż do Golgoty, naznaczone było cierpieniem i trudem.

Cierpienie Maryi rozpoczęło się w Nazarecie. W czasie Zwiastowania powiedziała Bogu „tak” i oddała do dyspozycji swoje życie i przyszłość. W miarę upływu czasu odsłaniał się przed nią krzyż, który przyjęła. W postaci Matki Bożej Bolesnej ta macierzyńska tożsamość Maryi z Nazaretu znajduje swoje najwyższe i najbardziej dramatyczne wypełnienie. Tak jak towarzyszyła Jezusowi, swojemu Synowi, przez całe życie, począwszy od tej zimnej nocy w Betlejem, tak samo Maryja podążała za Nim na skraj śmierci, po raz ostatni przytulając Jego umęczone ciało w swoich ramionach, z nim złożono Go do grobu. Jej łzy obmyły krew z ran korony cierniowej i z gwoździ Krzyża. Jej oddech dotykał zimnego Ciała Baranka zabitego dla oczyszczenia ludzkości z wszelkiego grzechu.

Ale ten Baranek był dla Niej także Synem, noszonym w Jej łonie przez długie miesiące, pielęgnowanym podczas nocy płaczu, chronionym i strzeżonym jak najcenniejszy skarb, a w końcu pozostawionym, by pójść samodzielnie w świat, by podążać za swoim przeznaczeniem, ale zawsze pod uważnym i troskliwym okiem Matki, która go obserwowała, czuwała nad nim.

Trudno jest zrozumieć znaczenie postaci Matki Bożej Bolesnej, jeśli nie zatrzymamy się nad tym aspektem Matki. Myśląc o Maryi w tajemnicy Jej siedmiu boleści rozważanej w koronce seryfickiej jawi się nam jako pierwsza Wynagrodzicielka. Pierwsza, która swoim Sercem rozpoznaje pragnienia Serca swojego Syna. Ona nas uczy, wspiera, pokazuje jak mamy żyć w czasie, kiedy cierpienie przekracza próg naszej codzienności. W życiu Maryi bolesć i radość towarzyszą Jej od chwili zwiastowania aż po Wniebowzięcie.

Od Zwiastowania do publicznego nauczania Jezusa najbardziej widoczne są u Maryi doświadczenia radosne, ale jak w życiu każdej kobiety, tak i u Maryi, każda radość zawiera w sobie macierzyńską troskę, a nieraz i trwogę, a nawet ból z powodu doświadczeń Jej Syna. Na zewnątrz życie Maryi jest zwyczajne, ale w samej swej istocie przepełnione jest tymi sprawami, które są nadzwyczajne, Boże, a dotyczą zbawienia człowieka. Matka Syna Bożego żyjąc pośród świata, zajęta codziennymi obowiązkami, jest jednocześnie zatopiona w Bogu i nieustannie rozważa Jego dzieła. Jednocześnie jest cały czas najbliżej Jezusa, z miłością i adoracyjną wiarą służy Mu i towarzyszy w spełnianiu zbawczej woli Ojca; aż po mękę, krzyż i zmartwychwstanie.

Po zmartwychwstaniu, Maryja powierzona św. Janowi, jako Matka jego i każdego z nas, jak z Jezusem tak cały czas jest z każdym z nas, dalej zatroskana o nasze zbawienie. Jej macierzyńskie Serce najbardziej wie jak okazać miłość Synowi, aby Mu wynagrodzić za wszelki ból, grzech, niewdzięczność i zaniedbanie dobra przez nas. Czyni to przez kontemplację Słowa Bożego i czynną miłość. Jej miłujące Serce i wielka wiara sprawiają, że czujemy się bezpieczni w Jej obecności, na Jej rękach i przy Jej Sercu. Nawet w odległości zewnętrznej, Jej Serce jest blisko Jej Syna, i jest blisko nas.

Ta świadomość towarzyszyła Jezusowi w Jego nauczaniu i męce. Tego mamy przykłady w Ewangelii: Maryja nie przesłania Jezusa, ale jest blisko. Od Niej uczymy się wynagradzania i przez nią zanosimy przed Oblicze Jezusa nasze wynagradzanie – kontemplację Jego Słowa i miłości wyrażonej na Jego Obliczu oraz czynną miłość wyrażoną w służbie bliźnim. A odnosząc się do naszej dzisiejszej rzeczywistości, jakże często współczesny człowiek w wielu sytuacjach nie potrafi przeżywać cierpienia. Na wszystko chce mieć znieczulenie. W chwilach krzyża buntuje się, obwinia Boga. Potrzeba, abyśmy w sytuacji cierpienia, uczyli się przyjmować cierpienie od Maryi, która uczy nas, że jest ono cennym doświadczeniem, znakiem Bożego błogosławieństwa i Jego bliskości.

Maryja uczy nas, że nawet najtrudniejsze chwile naszego życia są częścią Bożego planu względem nas i naszego życia. Matka Boża jest dla nas nie tylko Nauczycielką cierpienia, ale także – niezawodną Pocieszycielką. Uczy nas także, że zdolność do przyjmowania i akceptowania cierpienia w naszym życiu uwarunkowana jest od naszej wiary, ufności i od miłości. Od Maryi musimy nauczyć się przeżywać te trudne chwile po Bożemu, których będzie coraz więcej, bo zostały one zapowiedziane przez Jezusa, który objawiał się św. Faustynie Kowalskiej, i przez Matkę Bożą w Fatimie i przez słynne objawienia Matki Bożej w Akita.

cd. na s. 2

Informacje duszpasterskie: wrzesień 2024 r.

1.09. – XXII Niedziela Zwykła.

2.09. – Poniedziałek: o godz. 8 Msza święta w intencji uczniów, rodziców i nauczycieli na rozpoczęcie nowego roku szkolnego i katechetycznego.

5.09. – Pierwszy czwartek miesiąca: o godz. 18:30 Msza święta w intencji Koła Przyjaciół Radia Maryja oraz w intencji Akcji Katolickiej.

6.09. – Pierwszy piątek miesiąca: o godz. 15 Koronka do Bożego Miłosierdzia. O godz. 16:30 spowiedź dzieci i młodzieży, o 17 Msza święta dla nich. O godz. 18 nabożeństwo do Najświętszego Serca Pana Jezusa, o godz. 18:30 Msza święta w intencji misji świętych i misjonarzy.

7.09. – Pierwsza sobota miesiąca: od godz. 9 kapłani udadzą się do Chorych z posługą sakramentalną. O godz. 18 różaniec, o 18:30 Msza święta w intencji prośb i podziękowań oraz w intencji Róż Żywego Różańca.

8.09. – XXIII Niedziela Zwykła.

13.09. – Piątek: O godz. 17:30 nabożeństwo fatimskie.

14.09. – Sobota: Święto Podwyższenia Krzyża Świętego.

15.09. – XXIV Niedziela Zwykła.

17.09. – Wtorek: Święto Stygmatów św. Franciszka z Asyżu. W tym roku świętujemy 800. rocznicę otrzymania Stygmatów przez św. Franciszka na górze La Verna.

18.09. – Środa: Święto św. Stanisława Kostki, zakonnika, patrona Polski.

21.09. – Sobota: Święto św. Mateusza, Apostoła.

22.09. – XXV Niedziela Zwykła.

29.09. – XXVI Niedziela Zwykła.

Matka Boża Bolesna (zdjęcie z krzyża)

nie do końca nazwany i wypowiedziany ból

Matki Boga-Człowieka i każdego z nas,

Jej oddanie Syna na chleb dla ludzi,

by nie odeszli z drogi wiodącej do Raju,

Jej miłość wtopiona w miłość Boga,

Jej przebaczenie wpatrzone w Jego przebaczenie,

wciąż odkrywana Maryja, nieskazitelny Człowiek,

w którym Bóg upodobał sobie zamieszkać.

*Magdalena Urzędowska
– tercjarka III Zakonu Franciszkańskiego*

Pismo parafialne *Nasza Wspólnota* redaguje zespół za zgodą władz zakonnych. Nakład 600 egz., rozprowadzanych bezpłatnie. Adres redakcji: Parafia Niepokalanego Poczęcia NMP, ul. J. Chełmońskiego 41; 31-301 Kraków.

Matka Boża Bolesna *dc ze s. 1*

Myślę, że dobrze jest sięgnąć do tych pozycji, które mówią o wypowiedziach Matki Bożej, na dzisiejsze czasy. W słowach Matki Bożej wybrzmiewa zapowiedź wchodzenia w bardzo trudny czas, czas cierpienia i to będzie czas wielkiej próby, kiedy dokona się jakiś rodzaj selekcji. Szatan przez cierpienie będzie usiłował nas doprowadzić do buntu, do sprzeciwu wobec Boga i do odrzucenia Boga. I po części to mu się udaje. Udaje mu się, bo jako ludzie stajemy się coraz mniej odporni na cierpienie. Zauważamy, że mamy powszechny problem w przyjmowaniu trudnych chwil w naszym życiu. To, co kiedyś było pewnego rodzaju normą wychowywania, przyzwyczajania do tego życie jest twarde, wymagające, że w życiu jest obecne cierpienie, to już odeszło. Na wszystko dziś jest jakiś tabletki, rodzaj znieczulenia, łącznie z alkoholem, narkotykami, które zniewalają człowieka.

Maryja, najgłębiej uczestnicząc w wielkich wydarzeniach zbawczych, cała jest im oddana, a jednocześnie ukryta z tym, co przeżywa. Ona, Matka Bolesna szczególnie dzisiaj wskazuje nam, jak ważna w miłości jest Jej obecność. Zwłaszcza, gdy ktoś cierpi. Brakuje nam nieraz słów, nie wiemy, co robić, zwyczajnie boimy się cierpienia, umierania. Maryja pokazuje, że nie wolno uciekać spod krzyża. Każdy ludzki krzyż jest zawsze powiązany z krzyżem Chrystusa. I tam, gdzie jest krzyż, najbardziej potrzebna jest nasza obecność wypełniona współcierpiącą miłością. Potrzebna jest czułość, łagodność, cisza, uścisk dłoni, a czasem łzy. Maryja uczy męstwa wobec cierpienia. Zwykle najtrudniej przyjąć cierpienie bliskich. Maryja Bolesna mówi współczesnemu człowiekowi: nie odwracaj oczu od cierpienia, od śmierci. To także należy do tajemnicy życia. Cierpienie jest zawsze najważniejszą próbą wierności miłości. Bo nie ma miłości autentycznej bez cierpienia.

Ojciec Proboszcz Jacek Koman OFM

Krzyżu

krzyżu towarzysz konających

z Panem Bogiem uniżonym

do nędzy człowieka,

uzdrawiającym na wieczność

w zanurzeniu w śmierci i pokonaniu jej,

krzyżu z gwoździemi nieszczęść i grzechów

z utraconą mocą ofiary Odkupiciela,

krzyżu ościeniu naszych trudów i przegranych

rozświetlający kroplami krwi Jezusowej

drogę nocą zwątpienia

i trudnymi przełęczami

ku szczytom gór możliwości,

z uśmiechniętym słońcem

na zielonym niebie traw,

z obłokami szarotek,

krzyżu wierny przyjacielu

z Chrystusem stale nam przebacającym

i uczącym przebaczać.

*Magdalena Urzędowska
– tercjarka III Zakonu Franciszkańskiego*

Przesłanie z La Verny

Kiedy mówimy „św. Franciszek”, od razu myślimy – Asyż. Jednak we włoskiej Toskanii, w prowincji Arezzo, ponad sto kilometrów od Asyżu, znajduje się jeszcze jedno pewne szczególne dla św. Franciszka miejsce – góra La Verna.

Otrzymał ją w 1213 roku od hrabiego Chiusi, Orlando Catanego, i mówił o niej słowami Psalmu 68: „Góra Boża! Góra Święta! Góra, na której Bogu spodobало się mieszkać!”. Kiedy Franciszek przybył pierwszy raz na La Vernę, przywitały go ptaki. To tam rozmawiał z Matką Bożą, tam pocieszały go aniołowie, tam oddawał się głębokiej modlitwie i pokucie. I to wreszcie tam, na La Vernie, we wrześniu roku 1224, otrzymał od Boga najdosadniejszą odpowiedź na wszystkie pytania – stygmaty.

La Verna do dziś jest miejscem, które porusza serca swoją tajemnicą i świętością. Wiele popularnych pielgrzymek omija to miejsce. Nie ma tam złotych, strzelistych wież, turystycznej infrastruktury ani poustawianych w równych rzędach straganów, na których można nabyć pamiątki i dewocjonalia. Jest za to proste, kamienne Sanktuarium, drewniany krzyż, zielone i bujne lasy, kręte dróżki, ogromne głazy i skarpy, jaskinie i kamienie porośnięte mchem. Legenda głosi, że skały na La Vernie popękały w chwili śmierci Jezusa – według słów z Ewangelii św. Mateusza: „ziemia zadrżała i skały zaczęły pękać” (Mt 27, 51). Święty Franciszek w tych szczelinach i wyrwach widział Chrystusowe rany. Często modlił się, wchodząc w głąb popękanej pieczary i czuł się, jakby tym samym wchodził w rany swego Mistrza; tam płakał nad Męką, ale tam też odnajdywał bezpieczeństwo, umacniał się w wierze, zagłębiał duchową tajemnicę wiary.

Dla Franciszka góra La Verna od początku stanowiła symbol Golgoty. A wzorem najlepszego i najpełniejszego przeżywania Męki jest Maryja. W ołtarzu głównym Kaplicy Stygmatów na La Vernie jest scena Ukrzyżowania, pełna głębokiej symboliki. Pod Krzyżem stoi święty Jan, z drugiej strony Maryja, obok Niej przykłęka Franciszek. Najbardziej wymowne jest to, że twarz Biedaczyny z Asyżu wcale nie jest utkwiona w górującym na Krzyżu Jezusie, ale... w Matce Bożej. A Maryja nie patrzy na Jana ani na Syna, tylko na Franciszka. Święty z Asyżu patrzy na Chrystusa przez Maryję, on rozumie Golgotę na sposób Maryjny, przeżywa Mękę z Nią, na Jej sposób!

Pod Golgotą na wspomnianym ołtarzu jest cytat z Lamentacji Jeremiasza: „O wy wszyscy, którzy przechodzicie drogą, zobaczcie, czy jest taka boleść jako boleść moja” (Lm 1, 12). Kościół weret ten odnosi do Matki Bożej. Ona nie tylko stoi pod Krzyżem i patrzy, Ona wchodzi w całą Mękę swego Syna tak głęboko, jak to tylko możliwe, utożsamia się z Nim. Podobnie uczynił Franciszek – wszedł w wydarzenie Ukrzyżowania tak daleko, że odcisnęło się ono na jego ciele w postaci stygmatów. Maryja ma jednak stygmaty głębsze niż Święty z Asyżu, tyle że Jej rany pozostają niewidoczne. Przeżywanie Golgoty na sposób Maryjny, w łączności z Maryją, wymaga pełnego, osobistego zaangażowania.

Na bardzo ważną rzecz w związku z symboliką ołtarza w Kaplicy Stygmatów na Alwerni zwrócił uwagę kardynał Grzegorz Ryś. Postawił on pytanie: kto tam jest Janem? Chrystus powierza Jana Matce, a Matkę – Janowi, którym jest Franciszek: ze chrztu – „Jan”. Kardynał Ryś dodaje: „Nie potrzebujecie stygmatów. Macie w sobie chrzest, niezatarte znamie chrztu. Franciszek odkrył tu na nowo swój chrzest. (...) Chrzest! Nie jakieś szczególne łaski. To jest miejsce do odkrycia własnego chrztu, faktu, że jesteśmy ochrzczeni – to znaczy, że mamy w sobie stygmat. Taki stygmat, który jest znakiem Chrystusa umierającego i zmartwychwstałego, żyjącego”.

O La Vernie mówi się, że jest dla świętego Franciszka zarówno Górą Tabor, jak i Synaj. Na początku Taborem – górą przemienienia, głębokiej modlitwy, doświadczenia Boga. Następnie Synajem – górą, z której zniósł prawo miłości, wypisane – jak ujął to św. Bonawentura w „Życiorysie większym” – palcem Boga Żywego na członkach jego ciała. Bo Golgota, Męka, Krzyż – to wszystko jest wyrazem miłości. Tej prawdy uczy nas Franciszek na La Vernie. Miłości, która prowadzi przez cierpienie. Miłości, która zbawia.

Iwona Zębala

«Stigmata» św. Franciszka i Apostoła Pawła

Ci, którzy nieco głębiej znają i wnikają w duchowość św. Franciszka myślę, że nie umknie im data 17 września 2024, gdyż wtedy przypada i będzie obchodzona pamiątka Stygmatów Św. Franciszka, które on otrzymał prawdopodobnie w święto Podwyższenie Krzyża 14 września 1224 r. czyli 800 lat temu.

Tło sytuacyjne tego wydarzenia prawdopodobnie przedstawia się następująco. Otóż w ten pamiętny dzień, kiedy liturgia Kościoła wspomina Podwyższenie Krzyża, Seraficki Ojciec znajdował się na górze Alwernia (wł. *La Verna*) i w czasie jego żarliwej modlitwy i kontemplacji Męki i Śmierci Jezusa Chrystusa, doszło do szczególnego doświadczenia. Oto Franciszek, w ekstazie, spotkał Jezusa Chrystusa pod postacią serafina. Ów serafin, okryty był sześcioma skrzydłami i przybity do krzyża. Z jego ciała wychodziły promienie, które przeszyły stopy, dłonie i bok św. Franciszka.

Powszechnie znany biograf Biedaczyny z Asyżu, Tomasz z Celano (XII w.), tak zanotował, że kiedy św. Franciszek był pogrążony w modlitwie *to ujrzał w widzeniu rozciągniętego nad sobą Serafina, wiszącego na krzyżu, mającego sześć skrzydeł, za ręce i nogi przybitego do krzyża.*

Dwa skrzydła unosiły się mu nad głową, dwa wyciągały do lotu, a dwa okrywały całe ciało. Widząc to, Franciszek zdumiał się gwałtownie, a gdy nie umiał wytłumaczyć, co by znaczyło to widzenie, wtargnęła mu w serce radość pomieszana z żalnością. Cieszył się z łaskawego wejrzenia, jakim Serafin patrzył na niego, ale przybicie do krzyża przeraziło go. Natężył umysł, by pojąć, co mogłaby znaczyć ta wróżba, i duch jego siłił się trwożnie nad jakimś jej zrozumieniem. Otóż, podczas gdy szukając wyjaśnienia na zewnątrz, poza sobą, nie znalazł rozwiązania, nagle objawiło mu je w nim samym odczucie bólu. Natychmiast bowiem na jego rękach i nogach zaczęły jawić się znaki gwoździ, jak to na krótko przedtem widział u Męża ukrzyżowanego, ponad sobą w powietrzu. Jego ręce i nogi wyglądały przebite gwoździami w samym środku ... Zaś prawy bok, jakby przebity lancą, miał na sobie czerwoną bliznę, która często broczyła i spryskiwała tunikę oraz spodnie świętą krwią.

Inna, i jakże znana postać, z czasów początku formowania się Zakonu Braci Mniejszych, św. Bonawentura, tak zanotował. Że, po zejściu z góry Alwernia, św. Franciszek *jako nowy człowiek, na skutek nowego i zadziwiającego cudu, został wyróżniony szczególnym przywilejem, dotąd nikomu nie udzielonym, ozdobiony mianowicie świętymi stygmatami; zszedł więc z góry, niosąc z sobą podobiznę Ukrzyżowanego, wykonaną nie sztucznie na tablicach kamiennych czy drewnianych, ale palcem Boga żywego wyrażoną na członkach jego ciała (Życiorys Mniejszy, Święte Stygmaty 1-4).*

Tyle odnotowali biograf Tomasz z Celano oraz św. Bonawentura. Ale kiedy sięgniemy do Pisma Świętego, to możemy przeczytać, że w Biblii góra zawsze była miejscem szczególnych spotkań człowieka z Bogiem.

cd. na s. 4

«Stigmata» św. Franciszka... *dc ze s. 3*

Wystarczy wspomnieć Górę Synaj i Mojżesza rozmawiającego z Bogiem. A w Nowym Testamencie, Górę Kuszenia, Górę Przemienienia (Tabor) czy też Kalwarię, a następnie Górę Wniebowstąpienia. Nic zatem dziwnego, że niektóre wydarzenia z życia proroków, czy też Jezusa Chrystusa dokonywały się *na górze*. Dlaczego tak się działo? Otóż nie wchodząc głęboko w fenomen religijności człowieka, to właściwie od dawien dawna ludy starożytne i ich wierzenia były związane z górą jako miejscem kultu.

Mało tego. Żydzi i Naród Wybrany zawsze mieli wielki szacunek do gór, gdyż sądzili, że jest to teren przebóstwiony czyli teren, *gdzie czuje się obecność Boga*. Gdzie Bóg jest, przemawia i JEST: *Od wschodu słońca, aż do zachodu jego, niech będzie chwalebne imię Pańskie. Pan jest nad wszystkie narody wywyższony; chwała jego nad niebiosami. Któż taki, jako Pan Bóg nasz, który mieszka na wysokości?* (Ps 113, 3n).

W tym wielce znaczącym wydarzeniu, stygmatyzacji ranami Chrystusa, Serafickiego Ojca Franciszka, pragnę zwrócić uwagę na inną rzecz. Otóż to św. Paweł, jako pierwszy użył określenia stygmaty: *Ja na ciele swoim noszę blizny* (gr. *stigma*), *znamię przynależności do Jezusa* (Ga 6, 17).

Dopiero świętość św. Franciszka z Asyżu skłoniła Kościół do dopuszczenia czcigodnego charakteru zjawiska otrzymania daru ran Chrystusowych. Dlatego stygmatyzacja jest fenomenem wyłącznie katolickim, a specjaliści w tej dziedzinie, temu nadprzyrodzonemu wydarzeniu taką podają definicję: *stygmatyzacja jest ona umiejscowiona tam, gdzie Chrystus miał pięć ran (oraz koronę cierniową). Towarzyszą jej bardzo dotkliwe fizycznie i moralne cierpienia. Zazwyczaj ma to miejsce w dzień Męki Chrystusa*.

Powróćmy do postaci Apostoła Narodów, czyli Pawła. Jak zatem rozumieć jego stwierdzenie: *Ja na ciele swoim noszę blizny (stigma), znamię przynależności do Jezusa* (Ga 6, 17)?

W swojej pierwotnym pochodzeniu, grecki termin «*stigmata*» był odnoszony do oznakowania niewolników i zwierząt. Skąd inąd wiemy, że w starożytności tatuowano (nadawano znaki) np. niektórym niewolnikom, przestępcom i jeńcom wojennym. U wyznawców niektórych kultów religijnych (np. Egipt, Syria), takie oznakowanie posiadało charakter religijny. Grecy i Rzymianie kojarzyli zwykle np. tatuaże z barbarzyńcami. Zaś starożytne pojmowanie greckiego terminu «*stigmata*» najczęściej odnoszono do zwyczajnych znamion, znaków czy też blizn.

A zatem jak rozwiać owe Pawłowe stwierdzenie o posiadaniu «*stigmata*»? Otóż Biblistyka, nauka zajmująca się kwestiami Pisma Świętego, zarówno co do historii, jak i interpretacji teologicznych, stoi na takim stanowisku.

W przypadku św. Pawła pod terminem «*stigmata*» należy pojmować jako znaki jego prześladowania. W Rz 1, 1 tak on pisze o sobie: *Paweł, sługa [dosłownie niewolnik od gr. *do-ulos*] Chrystusa Jezusa, z powołania apostoł, przeznaczony do głoszenia Ewangelii Bożej*.

A zatem «*stigmata*» to znaki prześladowania? Tekst *Dziejów Apostolskich* oraz Pawłowe *Listy* mówią o śladach krwawych, bliznach, ranach i wszelkich znakach na jego ciele np. po *sieczeniu różgami* (Dz 16, 22; 2 Kor 11, 25) i *kamieniowaniu* (Dz 14, 19) lub generalnie ujmując, że to są rany wynikające ze złego traktowania Apostoła, które on znosił dla Chrystusa (zob. 2 Kor 4,10; 6,4-5; 11,23-28; Kol 1,24). Bez wątpienia owe «*stigmata*» czyli blizny, rany i cierpienia stąd wynikające, były uważane przez Pawła za coś bardzo chwalebne niż wszystkie inne znaki na ciele (w. 13-14; por. 2 Kor 11, 18; Flp 3, 7).

Fizyczne ciało Pawła nosiło na sobie dowody jego przynależności do Chrystusa. On swoje «*stigmata*» odczytywał jako

kara ze strony Żydów za głoszenie Ewangelii. Przecież to Paweł jako pierwszy w myśleniu teologicznym ukazał sens i wartość cierpienia. A krzyż Jezusa uczynił swoim drogowskazem życia (Flp 3, 1-10) i wartością, dla której wszystko mozołnie i z wiarą w łączności z Chrystusem znosił (2 Tym 1, 7-10).

Wychodząc z pierwotnego znaczenia gr. «*stigmata*» można powiedzieć, że Pawłowe blizny nominowały go na niewolnika i sługę Chrystusa (Rz 1, 1). Apostoł wielokrotnie pragnie pouczyć, że *cały w duszy i na ciele jest znakowany Chrystusem ukrzyżowanym*. On chęłpi się swoimi ranami, dolegliwościami, trudnościami, bólami, i słabościami (2 Kor 11, 30). Toteż rzesza Apostołów, głosicieli Ewangelii oraz wierzących za Pawłem może wyznać: *Zewsząd cierpienia znosimy, lecz nie poddajemy się zwątpieniu, żyjemy w niedostatku, ... znosimy prześladowanie, ... obalają nas na ziemię, ... Nosimy nieustannie w ciele naszym konanie Jezusa, aby życie Jezusa objawiła się w naszym ciele* (2 Kor 4, 8-10).

Współuczestnictwo z Chrystusem w bólu i chorobie staje się zadatkem współuczestnictwa w chwale (Rz 8, 17). Takie jest zalecenie Pawła z Tarsu i praktyka Apostoła, który wzywa w Kol 1, 24 do *radości w cierpieniach za Kościół*.

Jan Chryzostom tak komentuje Pawłowe słowa, że *na swoim noszę «stigmata»*. Apostoł Paweł – pisze Chryzostom – *Nie oświadczył: «Mam», ale: Noszę, dumnie, niczym swoje trofea i cesarskie odznaczenia. Aczkolwiek takie zachowanie wydaje się być dyshonorem, to jednak chęłpi się i z dumą obnosi się ze swoimi ranami, niczym chorąży maszerujący pod sztandarem. Dlaczego więc tak czyni? «Tym sposobem, powiada, obronę się skuteczniej od jakiegokolwiek przemówienia. Blizny donośniej od trąb krzyczą przeciwko moim wrogom ... Nikt nie oskarża o tchórzostwo i zdradę żołnierza okrytego tysiącem ran; tego, który powróciwszy z pola bitwy, dowody męstwa nosi na ciele. Właśnie tak należy o mnie mówić ... niech każdy patrzy na moje rany; one są lepszym dowodem aniżeli te słowa i te pisma»* (Komentarz do Listu św. Pawła do Galatów).

«*Stigmata*» Pawłowe to jedno. Jakby tego było mało, to warto jeszcze niejako dorzucić i odnotować inne, bardzo enigmatyczne stwierdzenie z 2 Kor 12, 7-9, gdzie pisze że zostało mu zesłane przez Boga cierpienie: *dany mi został oścień (skolops) dla ciała, wysłannik szatana, aby mnie policzował – żebym się nie unosił pychą. Dlatego trzykrotnie prosiłem Pana, aby odszedł ode mnie, lecz mi powiedział: «Wystarczy ci mojej łaski. Moc bowiem w słabości się doskonali» ...* (2 Kor 12, 7 - 9). Gdzie ów oścień to jakaś bliżej nieokreślona choroba lub dolegliwość, która nieustannie życiu apostoła zadawała ból.

Jak byśmy na termin «*stigmata*» patrzyli i go pojmowali i wszelkie dyskusje prowadzili, to trzeba stwierdzić, że św. Paweł chęłpi się swoimi ranami, bliznami, dolegliwościami, trudnościami, bólami i słabościami (2 Kor 11, 30). Dlatego rzesza Apostołów i głosicieli Ewangelii oraz każdy wierzący powinien za Pawłem wyznać i powtórzyć: *Zewsząd cierpienia znosimy, lecz nie poddajemy się zwątpieniu, żyjemy w niedostatku, ... znosimy prześladowanie, ... obalają nas na ziemię, ... Nosimy nieustannie w ciele naszym konanie Jezusa, aby życie Jezusa objawiła się w naszym ciele* (2 Kor 4, 8-10).

Współuczestnictwo z Chrystusem w bólu, chorobie i znoszenie wszelkich ataków za trzymanie się Ewangelii staje się dla wierzących zadatkem współuczestnictwa w chwale (Rz 8, 17). Takie jest apostoelskie myślenie i zalecenie Pawła z Tarsu oraz jego praktyka kiedy w Kol 1, 24 stwierdza: *raduję się z cierpień, które za was znoszę i dopełniam na ciele moim niedostatku udrek Chrystusowych za ciało jego, którym jest Kościół*. Niestety wielu chrześcijan ale także i wrogów Kościoła nie rozumie, że gdy przechodzą cierpienia z powodu Chrystusa, to mają szczególny udział w cierpieniach Zbawiciela i noszą znamię chwalebnych «*stigmata*» z Kalwaryjskiej Góry.

cd. na s. 5

«Stigmata» św. Franciszka... *dc ze s. 5*

Stygmaty, które Franciszek otrzymał na Alwerni, są wewnętrznym świadectwem prawdy Biedaczyny, że On, podobnie jak Apostoł Paweł chlubili się z Chrystusowego krzyża, a nie z czegośkolwiek innego: *chlubię się z krzyża Pana naszego Jezusa Chrystusa (Ga 6, 14) i teraz zaś już nie ja żyję, lecz żyje we mnie Chrystus. Choć nadal prowadzę życie w ciele, jednak obecne życie moje jest życiem wiary w Syna Bożego, który umiłował mnie i samego siebie wydał za mnie (Ga 2, 20).*

Znak upodobnienia z miłości do Chrystusa powtarza też za Pawłem św. Franciszek, że *świat stał się ukrzyżowany dla mnie, a ja dla świata (Ga 6, 14).*

Świat nie chce być ukrzyżowany: wyrwa się i ucieka przed krzyżem. Dzisiaj budowana jest iluzja życia łatwego, bezproblemowego i pozbawionego doświadczenia bólu. Tworzy się koncepcje i lansuje się hasła o życiu łatwym, lekkim i przyjemnym. Takie postrzeganie świata stoi w sprzeczności z Bożym Objawieniem.

Człowiek ucieka przed *ukrzyżowaniem dla świata*. Tak było za czasów Biedaczyny, tak jest w naszych czasach. Walka między światem a krzyżem toczy się nieustannie, a czasami to i brutalnie.

o. Edmund Urbański OFM



800

1224 | Stygmaty
2024 | św. Franciszka

Sanktuarium Pana Jezusa Cierpiącego „Ecce Homo» w Alwerni

Okolo 30 km na zachód od Krakowa, na Wyżynie Krakowsko-Częstochowskiej położone jest niewielkie, ponad 3-tysięczne miasto Alwernia. Swoją nazwę zawdzięcza ono włoskiej górze La Verna, położonej w Toskanii, okolo 90 km na wschód od Florencji, gdzie we wrześniu 1224 r. św. Franciszek z Asyżu otrzymał stygmaty Męki Jezusa Chrystusa.

O początkach kościoła i klasztoru w Alwerni dowiadujemy się z *Kroniczki alwernieńskiej* opracowanej przez O. Czesława Bogdalskiego OFM. Na jej pierwszej stronie kronikarz zapisał: *„Z początkiem lata 1616 roku wezwani listownie przez pana Krzysztofa Korycińskiego starostę gniewkowskiego przybywają do jego dworu w Porębie Żegoty: o. Piotr z Poznania i o. Krzysztof Scipio del Campo celem wybrania miejsca na klasztor OO. Bernardynów. Wybrano górę zwaną »Podskale«. Przy ustawieniu krzyża na miejscu obranem pod kościół i klasztor została ta nazwa »Podskale« na życzenie fundatora zamieniona na: »Alwernia«. Kościół i klasztor zaczęto zaraz budować z drzewa. Z początkiem jesieni była budowa skończona.(...)»*

Podczas ogromnej nawałnicy w czerwcu 1661 r. ten pierwotny, drewniany kościółek został zniszczony. Obecny kościół, także pod wezwaniem Stygmatów św. Franciszka z Asyżu, zbudowano w latach 1625–1676. Konsekrował go w 1667 r. biskup sufragani krakowski Mikołaj Oborski. Kościół jest murowaną, jednonawową budowlą z transeptem. W latach 1897–1900 dobudowano do niego z ofiar pielgrzymów i wiernych z Górnego Śląska wieżę na dzwony. Wnętrze posiada wystrój wczesnobarokowy. W ołtarzu głównym, wykonanym w 1734 r. przez Macieja Klara, centralne miejsce zajmuje krucyfiks z 1624 r., który zachował się z drewnianego kościółka. Wśród ołtarzy bocznych na uwagę zasługuje ołtarz z obrazem Matki Bożej Piekarskiej zwanej Alwernijską.

Najcenniejszym skarbem tego franciszkańskiego sanktuarium jest łaskami słynący obraz Pana Jezusa Cierpiącego „Ecce Homo”. Znajduje się on w niewielkiej kaplicy, przylegającej do lewego skrzydła transeptu, zbudowanej specjalnie dla cudownego wizerunku w latach 1703–1708.

Obraz Chrystusa Cierpiącego został namalowany na płótnie przyklejonym do deski, a jego wymiary wynoszą 65 cm x 50 cm. Przedstawia on Pana Jezusa w purpurowym płaszczu, z trzciną w prawej ręce oraz w koronie cierniowej. Dłonie Chrystusa związane są powrozem. Szczególną uwagę na obrazie skupia twarz Chrystusa pełna bólu, ale zarazem wielkiego miłosierdzia.

Historia obrazu jest niezwykle ciekawa. Podanie głosi, iż miał się on znajdować w kaplicy cesarskiej Konstantego XII. Po upadku Konstantynopola w 1453 r. dostał się w ręce sułtana Mahometa II, który umieścił go w skarbcu. Sułtan Amurat IV podarował obraz cesarzowi habsburskiemu Ferdynandowi III, który zawiesił w swojej pałacowej kaplicy. Stąd potajemnie został wywieziony do Węgier przez nadwornego kapelana cesarza, a następnie przez Koszyce, Lubowlę dotarł do podkrakowskich Babic. Proboszcz parafii Babice ks. Jan Franciszek Michlajski, wdzięczny Bernardynom za opiekę nad chorym ojcem, ofiarował go zakonnikom w Alwerni. Uroczyste przekazanie obrazu miało miejsce w święto Matki Bożej Anielskiej, tj. 2 sierpnia 1686 r.”

Od początku kult cudownego obrazu przyjął się w Alwerni i w okolicy. Od XIX w. rozwinął się w ruch pielgrzymkowy. Do sanktuarium przez wieki pielgrzymowali zarówno możni jak i prosty lud, aby prosić Chrystusa Cierpiącego o potrzebne łaski.

cd. na s. 6

Sanktuarium w Alwerni *dc ze s. 5*

Sanktuarium Pana Jezusa Cierpiącego w Alwerni odwiedzili dwaj królowie Polski: Jan III Sobieski i Stanisław August Poniatowski. W kronice klasztornej zanotowano, że przed cudownym wizerunkiem modlili się m.in. kard. Karol Wojtyła, kard. Albin Dunajewski, kard. Jan Puzyna, kard. Adam Stefan Sapieha i kard. Franciszek Macharski.

Alwernijska świątynia otwarta jest codziennie w godzinach 6–18:45. Odsłonięcie cudownego obrazu Pana Jezusa Cierpiącego przed poranną Mszą Świętą; zasłonięcie po ostatniej Mszy Świętej. W każdy piątek po Mszy św. o godz. 7 odprowadzane jest nabożeństwo do Pana Jezusa Cierpiącego.

Penitencjaria Apostolska „pragnąc wzrostu pobożności wiernych oraz zbawienia dusz, na mocy uprawnień w sposób najszczególniejszy udzielonych sobie przez Najprzewielebniejszego w Chrystusie Ojca i Pana naszego, z Bożej Opatrzności Papieża Franciszka, (...) z okazji uroczystych obchodów ku czci św. Franciszka z Asyżu, które będą miały miejsce od 29 marca do 31 grudnia 2024 r., czerpiąc z niebieskich skarbów Kościoła” przyznała sanktuarium Pana Jezusa Cierpiącego w Alwerni odpust zupełny pod zwykłymi warunkami (...)

Serdecznie zachęcam Drogich Czytelników „Naszej Wspólnoty” do odbycia pielgrzymki do sanktuarium Chrystusa Cierpiącego „Ecce Homo” w Alwerni, w naszej archidiecezji krakowskiej. Zachęcam do modlitwy w tym wyjątkowym sanktuarium, szczególnie w roku Jubileuszu 800 lat otrzymania Stygmatów przez św. Franciszka z Asyżu. Więcej informacji na temat funkcjonowania sanktuarium można przeczytać na stronie internetowej www.alwernia.bernardyni.pl.

Franciszek Mróz

Czy jestem osobą wierzącą (cz. 2)

W poprzedniej części tego tekstu szukaliśmy uzasadnienia wiary religijnej w Kosmosie. Najważniejszym wnioskiem, który tu chciałbym powtórzyć i uwypuklić jest to, że: po pierwsze, każdy z nas powinien starać się o utwierdzenie wiary głębokim przekonaniem, na miarę swoich intelektualnych możliwości lub w oparciu o wiarygodne źródła, autorytety, świadków; po drugie, wiara bez tego przekonania jest płytka i narażona na zachwiania lub wręcz na wykorzenienie; po trzecie, trzeba uważać na tzw. pseudonaukowe argumenty; nauka ze swej natury jest bardzo kategoryczna, jak biblijne „tak – tak, nie – nie”, ale w nauce trzeba przestrzegać ostrego rozróżnienia między udowodnionymi faktami a hipotezami, które często mogą być zwykłymi spekulacjami. Dotyczy to w szczególności nauk ścisłych. Należy też widzieć różnicę między pięknymi i bardzo pożytecznymi matematycznymi opisami Natury, a samą Naturą, bo matematyka przyjmuje i nawet lubi tzw. osobliwości, a w fizyce one nie występują. I po czwarte, bardzo istotne dla przeciwników wiary – ateistów, jeśli ma być poważnym uczestnikiem dyskusji, też powinien wiedzieć, dlaczego nie wierzy. Przejdźmy do kontynuowania naszych poszukiwań.

Życie. Jego definicja zależy, kto o nim mówi. Ja do tego podchodzę, przynajmniej na początek, bardzo zasadniczo, czyli od strony fizyki. Wszystko w naturze podlega prawu wzrostu entropii, czyli na „ludzki język” przekładając, od uporządkowania lepszego lub gorszego, do chaosu, czyli braku uporządkowania, wyrównania się energii i w konsekwencji do bezruchu. Mówiąc jeszcze inaczej, skoncentrowana gdzieś i z jakiegoś powodu energia ulega stopniowemu rozproszeniu. Przekazanie, przepływ energii jest możliwy tylko w jedną stronę, od obiektu, który ma jej więcej. Zimniejsze ciało nie podgrzeje samorzutnie ciała cieplejszego. Podobno Góry Świętokrzyskie w momencie wypiętrzenia były wyższe niż

współczesne nam Karpaty, ale są od nich znacznie starsze. I co z nich pozostało? Piękne, malownicze oczywiście, ale tylko pagórki. Czas i erozja zrobiły swoje, głaz ze szczytu Łysicy runął pod wpływem grawitacji w dół, roztrzaskując się na drobniejsze kawałki i tracąc po drodze swoją energię potencjalną. I wewnętrzna struktura głazu i jego energia uległy nieodwracalnemu rozproszeniu – droga do chaosu.

Dla fizyka życie jest wysoko zorganizowaną formą materii, mającą oczywiście swoje specyficzne cechy, przede wszystkim zdolność do samoreprodukcji i przystosowywania się do zewnętrznych warunków. Czy za darmo? Absolutnie nie, potrzebuje do tego zasilania zewnętrzną energią. Cały ten cykl przemian zaczyna się od początkowo bardzo prostych, później bardziej i bardziej złożonych organizmów, które posiadły zdolność absorbowania energii padających na nie promieni słonecznych i wykorzystywaniu tej energii do „składania” z pojedynczych atomów struktur bardziej złożonych: cząsteczek, komórek, tkanek, na koniec całych roślin. Od chaosu do struktury? Pod prąd? Fizyk natychmiast wyczuwa jakiś błąd w tym rozumowaniu. Zwierzęta roślinożerne korzystają z energii już skoncentrowanej w tkankach roślin żywicielskich. Częściowo rozkładają materię roślin, tworzą własne cząsteczki i tkanki, zużywają część energii na poruszanie się, polowanie, rozmnażanie. A na szczycie tej piramidy są organizmy drapieżne, bo energia w tkankach ich ofiar jest jeszcze bardziej skoncentrowana. Po drodze tych wszystkich procesów i przemian znaczna część pierwotnie zaabsorbowanej energii słonecznej ulega rozproszeniu, rozprasza się i marnuje w łańcuchu pokarmowym także część materii. A na koniec każdy żywy organizm ginie i ulega rozkładowi, nawet jeśli wcześniej nie został skonsumowany. Widzimy więc pozorny wzrost uporządkowania, jak gdyby wbrew zasadzie wzrostu entropii, ale na koniec powrót do rozpadu. Cykliczny korowód zdarzeń i przemian, trwający tylko dzięki napędzaniu tą pierwotną energią słoneczną, ulegającą po drodze nieustannemu rozpraszaniu. Żadnego złamania żelaznych reguł fizyki! Piramida, u podstawy szeroka, zasilana sporą porcją energii, a u szczycu cieniutka, z początkowej energii zostało tygi, tygi.

A Słońce? Ono wydaje się wieczne. Nieprawda, astrofizycy dokładnie to wiedzą (udowodnione fakty naukowe), że się narodziło wraz z całym naszym układem planetarnym około 4,5 miliarda lat temu i za kolejne cztery miliardy lat „umrze”. Braknie mu kiedyś termojądrowego paliwa, ono także podlega wędrówce ku chaosowi. I cały Kosmos, o którym rozpisywałem się w poprzednim odcinku, też podlega temu samemu prawu.

No dobrze, wiemy już, jakie są fizyczne podstawy karuzeli życia, nic za darmo, wszędzie potrzebna jest energia, jej przynajmniej na razie niekończącym się źródłem jest Kosmos (Słońce). Co prawda nie wiemy, skąd się ten Kosmos wziął, ale zostawmy teraz ten problemik na boku i przyjrzyjmy się bliżej samemu Życiu, już jako biolog, czy choćby szary mieszkaniec Ziemi. Bogactwo niezmiernie, wszędzie ciekawscy badacze, podglądacze, wszystko już o nim wiemy. Wiemy, jak powstawały i różnicowały się gatunki (Darwin), wiemy, jak do środowiska sawanny musi być przystosowany lew czy gepard, żeby mógł być nazywany idealnym myśliwym, który i tak większość czasu jest na głodzie, z wykopalisk paleontologicznych znamy dinozaury i wiemy, dlaczego 65 milionów lat temu wyginęły na skutek nieszczęśliwego uderzenia niezbyt nawet wielkiej asteroidy, ... Wiemy, wiemy, wiemy – chyba wszystko już wiemy? I gdzie tu miejsce na Boga? Myślący człowiek znów popada w wątpliwości. Sugestywne, kolorowe filmy z życia rafy koralowej, sawanny, Antarktydy czy Everglades na Florydzie, sam takie filmy chętnie i z zainteresowaniem oglądam, rzetelnej wiedzy nigdy za dużo. Ale niestety, z boku różni podpowiadacze konfrontują całą tę wiedzę z opisem stworzenia świata z Księgi Genesis.

cd. na s. 7

Czy jestem osobą wierzącą (cz. 2) *dc ze s. 6*

No czysta bajka, świat istniejący 4,5 miliarda lat stworzony w sześć dni. Czysta bajka, ale niebezpieczna, według Lenina opium dla Ludu (w domyśle: ciemnego, zacofanego).

To poważny problem poznawczy, zatrzymajmy się nad nim chwilę. Religia katolicka bazuje na wiarygodności Pisma Świętego. Czy oczywista niezgodność Księgi Rodzaju z naukową wiedzą podważa wiarygodność Biblii? Przytoczę przykład z własnego życia. Zanim trafiłem na uniwersytet i zostałem fizykiem byłem uczniem Technikum Energetycznego na Loretańskiej. Fantastyczna szkoła, nie dość, że solidnie nauczyła mnie pożytecznego zawodu i dała wiele praktycznych umiejętności, to przede wszystkim wychowała mnie na człowieka, dała mi również szlif kulturalny i humanistyczny. W trzeciej klasie na jednogodzinne zastępstwo z elektrotechniki przyszedł do nas zaczynający dopiero pracę nauczycielską młody inżynier, zresztą również absolwent naszej szkoły sprzed kilku lat. Był bardzo kulturalny, wesoły, życzliwy dla uczniów, a przede wszystkim pełen zapału do przekazywania nam swojej inżynierskiej wiedzy. Tak się starał, tak się starał, a tu kompletna porażka, zupełnie nie rozumieliśmy, co on do nas mówi. Dobrze, że to była tylko jedna lekcja zastępcza. Po wakacjach, we wrześniu dowiadujemy się, że miernictwa elektrycznego będzie nas uczył ten właśnie młody człowiek. Nogi pod nami się ugięły, widzieliśmy w wyobraźni nasz fatalny los. A tu niespodzianka, młody nauczyciel w ciągu tego pół roku nauczył się, jak przekazywaną wiedzę podawać uczniom stopniowo, na bazie tego, co już wiedzą. Stał się naszym ulubieńcem, jednym z najlepszych nauczycieli. Czy widzicie już sedno? Jak Pan Bóg mógł trzy tysiące lat temu opowiadać prymitywnemu ludowi pasterskiemu o kwazarach, czarnych dziurach i teorii względności, albo o historii ewolucji gatunków? Co z tego by zrozumieli? Nawet obecnie rozumieją tylko wybrańcy. Dużo gorzej niż my, biedni uczniowie trzeciej klasy technikum. Do wiary się dorasta i do wiedzy też musi się dorastać, stopniowo. Ja też w mojej zawodowej praktyce zawsze musiałem pamiętać, do jakich słuchaczy kieruję mój wykład czy referat. W biblijnym opowiadaniu jedynie istotnym przekazem od Boga jest: „cały ten piękny świat wokół ciebie powstał z mojej woli i według mojego planu”. W jaki sposób to sprawa drugorzędna, teraz jeszcze nie zrozumiesz. Reszta jest pięknym poematem, z charakterystycznym rytmem: „i tak upłynął wieczór i poranek – dzień trzeci”.

Wróćmy do historii życia. Jest wielu naukowców, którzy uważają, że Życie powstało samorzutnie. Wystarczy tylko stworzyć mu odpowiednie warunki (woda, ciepło, właściwe stężenie różnych minerałów, może jakieś wyładowania elektryczne, ...) i czekać na szczęśliwy wypadek. Budując laboratoryjne modele, czasem okrzykuje się wielki sukces, bo udało się uzyskać jakieś banalnie proste związki organiczne. Wiecie, na co oni czekają? Aż dla przykładu zamknięte w pudełku, powiedzmy 2000 elementów układanki typu puzzle samo ułoży się w kompletny obrazek poprzez cierpliwe potrząsanie tymże pudełkiem. Tak to co najwyżej, pamiętając, że wszystko dąży do chaosu, można rozsypać wcześniej ułożony obrazek na kompletnie wymieszane elementy. Jak to się ma do struktury żywej materii? Podwójna spirala kwasu deoksyrybonukleinowego (DNA), w której zapisany jest swoisty program, jak nas zbudować, zawiera kilka miliardów (!) elementarnych zasad, każda z nich z kilkunastu atomów, ułożonych w ściśle uporządkowany sposób. Powodzenia w potrząsaniu tym pudełkiem.

Słabe widoki na sukces. Może więc Życie przywędrowało do nas z Kosmosu? A skąd? A nawet jeśli, to jak TAM powstało? Czy jest jakaś różnica, czy tu, czy tam? Właściwie tylko

ironicznie się uśmiecham, gdy oglądam na różnych filmach spekulacje na temat możliwości wykrycia śladów życia, a to na Marsie, a to pod lodową powłoką Europy (jeden z księżyców Jowisza), a to może jeszcze dalej, na Plutonie, bo tam jakieś ślady prostych związków organicznych? Gdyby gdzieś w naszym układzie słonecznym odkryto nawet jakieś bardzo prymitywne formy życia, bo na inne nie ma żadnych szans, to jak odpowiedzieć, czy przewędrowały one na Ziemię, czy może odwrotnie, to z Ziemi się rozsiały? Odkrycie byłoby niewątpliwie bardzo ważne, ale w żaden sposób nie rozstrzygające pytania najważniejszego – jak Życie powstało, gdzie są jego początki.

Ostatnio jeden z bardziej gorących tematów w astrofizyce, to poszukiwanie tzw. egzoplanet, czyli spoza naszego układu słonecznego. Technicznie bardzo ciekawy, trochę spekulatywny, dla czystej wiedzy może OK. Ale za tym idą następne spekulacje. W samej naszej Galaktyce jest podobno ponad 400 miliardów gwiazd, galaktyki w Kosmosie też liczą się w miliardach, pewnie zdecydowana większość gwiazd ma jakieś planety, to z czystej kalkulacji prawdopodobieństwa wynika, że w całym Kosmosie jest ogromnie wielka ilość planet bliźniaczo podobnych do Ziemi, jak się trochę poetycko określa, leżące w strefie złotowłosej, czyli sprzyjającej życiu. No to tam musi istnieć Życie, może nawet bardziej cywilizacyjnie rozwinięte, niż nasze. Oczywiście spekulacja! Gdyby wbrew zdrowemu rozsądkowi założyć, że tak jest, to nie miałoby dla nas żadnego praktycznego znaczenia. Nie byłibyśmy w stanie nawet nawiązać jakiegokolwiek radiowego kontaktu, bo jak rozmawiać czekając na odpowiedź może setki albo tysiące lat? Nie mówiąc o podróżach trwających tysiące lat w jedną stronę. Bardziej poważnie, te wyliczenia prawdopodobieństwa są wyraźnie sprzeczne z badaniami naszych, ziemskich warunków i tego, co musiało się stać w ewolucji naszej planety, jak długi ciąg niezwykle nieprawdopodobnych zdarzeń, by mogło powstać to przytulne gniazdko dla powstania, rozwoju i rozprzestrzenienia się organizmów żywych. Ziemia przeżyła kilka, może więcej, bardzo poważnych katastrof, a każda z nich przysłała jakoś we właściwym czasie i sprzyjała temu, żeby nie natychmiast, ale z opóźnieniami liczonymi w setkach milionów lat, powstała wreszcie ta wygodna kołyseczka. Ciąg zdarzeń nieprawdopodobnych, szanse tak małe, że nawet przemnożone przez gigantyczne rozmiary Kosmosu dają niemal zero! Naukowcy swoich spekulacji z pewnością nie porzucają, ale czy uwierzyć Pismu Świętemu jest w czymś gorsze, niż te spekulacje?

Specjalnym obiektem przyrodniczym jest człowiek. Naukowcy potrafią to sprawdzić, że taki szympanś jest biologicznie niemal identyczny z nami. Niemal! Jak widać *niemal* robi ogromną różnicę. Wszystko wiemy i nic nie wiemy. Dla mnie ma również duże znaczenie taki argument matematyczny, czysto statystyczny. Jeśli już zdarzył się ten nieprawdopodobny ciąg przypadków, który doprowadził do powstania życia, a potem do tak unikalnej jego formy, jak człowiek, to dlaczego zdarzyło się to tylko raz? Jedną z cech statystyki, tych przypadków, jest to, że zdarza się również ich powtórzenie, jeśli nie identyczne, to chociaż podobne. Czy znamy coś takiego?

Tekst niebezpiecznie nam się rozrasta, a ja ciągle mam poczucie niedosytu, że nie zahaczyłem nawet o wiele, wiele innych wątków powiązanych. Trudno, nie da się wyczerpać tak ważnego i ogromnego tematu. Pozostawiając resztę do następnego odcinka chcę na koniec tej części jeszcze raz z naciskiem powiedzieć: mnożą się wątpliwości w jedną i drugą stronę, mnożą się argumenty za i przeciw, sam musisz wybrać co twój rozum ci podpowiada, ale nigdy nie mów, że wszystko wiesz, bo to nieprawda! Na bazie rozumu nie masz racjonalnego powodu by odrzucać istnienie Boga, jeśli to mimo wszystkiego robisz, to może masz jakieś zupełnie inne powody?

Zenon Sulek

Z historii okupowanego Krakowa 28.07.1943 r.

Pacyfikacja Woli Justowskiej

W nocy z 27 na 28 lipca 1943 r. (w ramach akcji „Las Wolski”) niemieccy żołnierze i funkcjonariusze policyjni otoczyli kordonem zachodnią część Krakowa, w widłach Wisły i Rudawy: Przegorzały, rejon Salwatora, Bielany, Wolę Justowską, Chełm, a także sąsiadującą z miastem Olszanicę. Najprawdopodobniej przyczyną szeroko zakrojonej akcji pacyfikacyjnej było wykrycie podziemnej drukarni na Woli Justowskiej. Mieściła się ona w małym, jednorodzinny domu Ludmiły Korbutowej. Mieszkańców wypędzano z domów, a w mieszkaniach przeprowadzono rewizje. Około 1500 osób zapędzono na łąkę na Woli Justowskiej, zwaną „Łąką Męczeństwa”, gdzie kazano wszystkim położyć się twarzą do ziemi. Przez cały bardzo upalny dzień zatrzymani nie otrzymywali nic do jedzenia, ani picia. Pod koniec dnia Niemcy rozstrzelali w tym miejscu 21 osób. Najstarsza ofiara miała 75 lat, najmłodsza około 20.

Tomasz Skrzypek, jeden z wielu mieszkańców Woli Justowskiej po latach tak wspominał ten dzień:

„Okolo godziny 10.00 zbudzony zostałem przez sąsiada i powiadomiony że Wola Justowska otoczona jest przez policję niemiecką. W związku z tym ubrałem się szybko i zobaczyłem niedaleko od domu policję niemiecką, jak również żołnierzy Wehrmachtu idących w kierunku naszych domów. Podchodzili oni do domów, wchodzili do mieszkań, wyciągali wszystkich mieszkańców, po czym przeprowadzali i rewizję, poszukując broni palnej, naboji oraz tajnych gazetek. Mieszkańców następnie posegregowane w ten sposób, że kobiety i dzieci skierowano do szkoły, natomiast mężczyzn i dorosłe panny skierowano na łąkę w pobliżu szkoły. Tam kazano nam wszystkim położyć się twarzą do ziemi. Leżało nas tam kilkaset osób. (...) Leżeliśmy tam do około godziny 19.00 z tym, że były takie chwile, kiedy kazano nam się podnieść i w pozycji siedzącej na komendę jednego z gestapowców obracać się raz twarzą do usytuowanego za nami karabinu maszynowego, to znowu tyłem plecami do tegoż karabinu. W tych chwilach, kiedy kazano się nam odwracać tyłem do karabinu maszynowego by-

liśmy przejęcie obawą, że będą do nas strzelać. Okolo godziny 19.00 Niemcy przywieźli autobusem 21 osób, którym kazano się położyć najpierw przy drodze, a następnie pojedynczo kierowano w kierunku wykopanego dołu i kazano im położyć się na obrzeżach tego dołu. (...) Wtedy rozległy się liczne strzały. Domyśliliśmy się, że rozstrzelano tych wszystkich 21 osób, które skierowano do wykopanego dołu. (...) Następnie jeden z gestapowców wygłosił do nas w języku polskim krótkie przemówienie tej treści, że Rzesza Niemiecka jest surowa, ale sprawiedliwa i żąda od nas byśmy nie zajmowali się polityką, lecz wydawnie pracowali i oddawali kontyngenty.”

Tomasz Stachów



Fot. Pomnik na Woli Justowskiej, poświęcony rozstrzelanym przez Niemców 28 lipca 1943 r., 21 Polakom po wykryciu konspiracyjnych drukarni (fot. Tomasz Stachów)

Jesienne siewy

Lato już się kończy i jesień się zaczyna
to dla niektórych smutku jest przyczyna.
Dni z dnia na dzień coraz krótsze się stają
i w ubrania cieplejsze ludzie się ubierają.

Drzewa nas wszystkimi kolorami witają
i liście z nich stopniowo opadają.
Na termometrach spada temperatura
a rolników do prac rolnych wzywa natura.

Rolnicy po żniwach trochę odpoczęli
i już do siewu przygotować się zaczęli.
Aby nie zabrakło nikomu chleba
im w polu natrudzić się potrzeba.

Nasi przodkowie głęboko wierzyli
że Bóg przez pośrednictwo Maryi
może ziarno do życia powołać
i dobre plony na przyszły rok zachować.

Matka Boża Siewna jest patronką siewów
od Jej Narodzenia rolnicy dokonują zasiewów.
Więc na pierwsze skiby pola zaoranego
rzucają z czcią garść ziarna poświęconego.

Nie wiedzą co się przez rok wydarzy
susza, powódź czy też grad się zdarzy.
Czy zboże da plon obfity i wielokrotny,
czy też nieurodzaj będzie smrotny.

Niech czuwa nad rolnikami Boża Matula
niech płaszczem opieki ich czule otula.
Niech nam nie zbraknie nigdy chleba
o to gorąco modlić się nam potrzeba.

Iwona Zagrodnik